OGÓLNEGO ZBIORU TOM 223.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1896. — Tom III.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ulica Nowo-Zielna Nr 49.

1896.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 20 Іюня 1896 года.

OSTATNIE LATA

Wacława Potockiego

(W lat dwieście po zgonie poety)

...Człek uczony, dobry, niech zdrów trzęsie,
Jakiekolwiek są, wszystkie prace moje. Nie pręż się,
Że najdzie co poprawić, bom się nie aniołem,
Ani (co się poprawić nie da) apostołem —
Prostym rodził szlachcicem, ani cudzych piórek
Szukam u Helikońskich swej pochwale córek.
Słowa—moje, bom Polak; rzeczym pisał cudze,
Wprzód ku boskiej, a pótym ojczystej przysłudze.
Znowu mówię: niech taki me pisma przetrząsa,
Co poprawi, nie hydzi ludziom ani kąsa,
(W. Potocki Momus)

I.

Wrzesień 1696 r. miał się ku schyłkowi, gdy IMP. Wacław z Potoka Potocki, herbu Śrzeniawa, Podczaszy krakowski — choć tytuł ten właściwie mu już nie przysługiwał — z sejmiku Krakowskiej Ziemi, z Proszowic, wracał do domu, do podgórskiej Łużnej, w Bieckiem. Mi-

mo podeszłego wieku — podczaszemu minęło lat siedemdziesiąt pięć — odbył on był drogę, aby stanąć przy ukochanym bracie i szwagrze, staroście kowalskim, Władysławie Morsztynie, i zaprzeczone—nie wiedzieć po raz który—szlachectwo Morsztynów pod przysięgą poświadczyć.

Drogę do Proszowic i nazad odbywał Podczaszy nieraz, od jakich lat czterdziestu; jeszcze młodym mężem wsłuchał się był w gwar i wrzawę sejmikującej braci; z latami odstręczały go coraz bardziej od nawiedzania Proszowskiej fary nieporządek obrad, nieuszanowanie starców i senatorów, przewaga hałaśliwej młodzi, intrygi sobkostwa goniącego za zyskiem, pod maską publicznej usługi, wedle własnych słów Podczaszego:

Rzekę, bom wolny szlachcic, że dla *pijatyki*
Większa nas połowica jeździ na sejmiki,
I co przedtym *pieniądzom* do tego terminu
Przyszło, dziś ludzie mądrzy przypisują *winu*:
Kto trąbi [na bankiet], karmi, poi—tak mizerna postać
Wolności, że nie posłem—królem może zostać.

Gdyby nie potrzeba kochanego brata, pewnie-by się Podczaszy z Łużnej nie był ruszył. Znużyła go też droga więcej, niż kiedykolwiek indziej, i czuł starzec, że to chyba jego ostatni sejmik i ostatnie jego wystąpienie, że skąpą już resztę dni przyjdzie mu spędzić w samotnym domu, przy pracy, kojącej smutne myśli, na modlitwie, łączącej z niebem, w rozpamiętywaniu doli i niedoli, własnej i obcej, prywatnej i publicznej.

Z mimowolnej zadumy nad ludźmi i losami przebudził starca wjazd w kopce Łużeńskie, lecz widok wsi i dworu, zamiast pocieszyć, przeszył na nowo serce:

Własnego swego nie poznałem domu,
Ocknąwszy się z ciężkiego fortuny pogromu!
Szczere pustki, niemasz nic, śmiele goń z kopiją!
Niemasz żony i dzieci—bracia już nie żyją,
Synowcy, krewni, nawet przyjaciele moi
Wszyscy śpią—jakbym widział w zburzonej się Troi.
Przestałem być ojcem, gdzie drugi dziś pradziadem.
Chyba, że z miłosierdzia kto nad trupem bladym
Wrzuci w grób i nie da psom głodnym z niego żeru.
Niemasz dzieci—nie trzeba do pogrzebu kleru...
Idę spać, gdzie najdłuższy czas mnie nie obudzi.

Oczekiwali pana, przed wrotami na dziedzińcu, służba, włodarze, pisarze; wypytywał Podczaszy, co zaszło; wszystko było „dobrze,” choć wiedział Jegomość, ile temu zapewnieniu ufać należało—innym razem, włodarza, za to „dobrze,” ukrywające straty i szkody, kijem musiał częstować. Dziś, znużony drogą i myślami, po lekkim posiłku a długich pacierzach, wcześnie spać się ułożył. Głęboki sen, przez całą noc jesienną, miał mu znacznie siły nadwątlone pokrzepić.

Zbudził się Podczaszy nad świtem; podniósł się w łóżku, przeżegnał, westchnął do Boga, dziękując za noc, przebytą szczęśliwie; poczem zawołał na chłopca, śpiącego w przyległej izbie:

Chłopcze, azam ja dzisia przez sen chrapał w nocy?
„I bardzo, żeśmy usnąć nie mogli pod kocy!
Rozumiejąc, że Berski ztrębuje do parzy,
Wyli całą noc w psiarni, drzwi gryząc, ogarzy”.

Zamyślił się Jegomość mimowolnie; przypomniało mu się znowu, że ślepy człowiek na własne wady:

Tedy mię—ledwie biedna mysz zaskrobie,
Ledwie kto skrzypnie drzwiami, albo stąpi z góry —
Budzi; a gdy sam chrapię, choć ze dwora szczury
Wyżenę, chociaż i psy pokłócę i ludzi,
Tym smaczniej śpię, ani mię mójże hałas budzi. —

I tak z zarania nawinął się temat do morałów. Powstawszy, ubrał się Podczaszy przy pomocy usłużnych chłopców, którym dziś proceder ów, pewnie w imię morału, obszedł się bez zwykłego wstrząsania za czupryny, nawet bez przykrego słowa, jakby w jakie wielkie święto. Ubrany, ukląkł przy łóżku do rannej modlitwy, wzywając łaski Boskiej dla siebie i dla drogich umarłych. Wspomnienie o nich zasępiło lice; nabrzmiały powieki, czerwone od wylanych łez tylu, i jątrzyły się rany, nigdy nie zagojone, zapominane na chwilę; lecz dziś jakoś oparł się Podczaszy zbytniemu napływowi myśli ponurych i ciężkiego żalu, zdawszy się kornie na wolę Opatrzności, powstał od modlitwy i przeszedł do drugiej izby, gdzie już chłopcy stół nakrywali; po śniadaniu wyszedł o lasce, bez której się już nie ruszał, na dziedziniec, pod stare drzewa, z widokiem na wzgórza, pola i lasy.

Światło pogodnego poranku oblało postać, okazującą każdym szczegółem wiek sędziwy a sterany. Od czarnego ubioru, staroświeckiego kroju, a grubej materyi, odbijała twarz blada, długą, białą brodą okolona; po czole brózdy głębokie, blask źrenic przyćmiony, usta pra-

wie bez zębów, ręce i nogi drżące, a na wychudłem, przygarbionem ciele wisiały suknie w fałdach. Ślady lat podeszłych, bolesnych zawodów, walk i z własnem sumieniem, i z obcą zawiścią, godzącą w ciche ustronie podgórskie, ślady wreszcie wytrwałej pracy umysłowej i nocy bezsennych, występowały tem jaskrawiej wobec świeżości i jasności. Powiódł starzec smutnem okiem po sobie, spojrzał potem na dziedziniec pusty a cichy, wreszcie na zżęte łany i pożółkłe lasy i odczuł jeszcze bardziej swoje osamotnienie zupełne; i zdawało się mu, że stał się owem pochyłem drzewem przypowieści, na jakie i kozy skaczą:

We mnie masz, nie szukając daleko przykładu,
Com do takiego przyszedł na starość upadu,
Przenosząc przed kilką lat oganiste brzozy —
Dziś, na pochyłe drzewo biedne skaczą kozy.
Nic to, choć zęby lecą, ręce drżą; na głowie
I brodzie włos, jako list, mrozem zdjęty, płowie;
Nogi dygocą, nie znać przed karbami skóry;
Garb na karku—miałem dwa na starość kostury!
Aż śmierć, od piorunowch okrutniejsza klinów,
Wydziera z garści laski: córkę i dwu synów.
Niemasz się na czem wesprzeć; nie psu—biednej gęsi
Niemasz czym ognać, kiedy w nogę mnie ukęsi,
Choćby o tym nie myślił, sama okazyja
Wzywa złego, nie widząc do obrony kija.
Niemasz cię, mój Stefanie! niemasz cię, mój Jerzy!
Sową lata, skoro śmierć sokoła wypierzy,

Lecz energia życiowa nie ze wszystkiem jeszcze opuściła była starca; zawsze jeszcze wabił go widok świata, choć nie dla płochych rozrywek, ale, by mógł dłużej podziwiać dzieło Opatrzności, by i drugim przed oczy wystawiał Jej łaski i kary, by i w złych, niebacznych, lekkomyślnych, wpajał zdrowe zasady, upominał w imię wiary i prawdy, by, kiedy mu Bóg własne odebrał dzieci, innym stał się, choć po duchu, ojcem i opiekunem. To jedyne i ostatnie, co jeszcze resztki niegdyś tak zdrowego, niespożytego organizmu podniecało i utrzymywało. Bo cóż innego mogło-by go do tego świata przykuwać? czy ambicya roli politycznej? lecz tej i w sile wieku nie posiadał; czy może przyjemności doczesne, biesiady, zabawy, muzyka? lecz od nich stronił i młodzieńcem; czy zbijanie grosza lub skrzętność gospodarcza? ale chciwym nie był nigdy, a od lat kilkunastu nie było nawet dla kogo trudzić się i zbierać, chyba dla drobnej pary wnucząt, o których już

i nie tuszył, że starca przeżyją, boć teraz na świecie wszystko na opak:

...Uprzedzają rodziców synowie do grobu.
Inakszego dziś trzeba pisania sposobu:
Nie synów, jako było, do ojców, śmierć rącza,
Ale ojców, niestotysz! do synów przyłącza.
Insze kinąwszy, swoim dowodzę przykładem,
Gdym z ojca trojga dzieci ledwo został dziadem
Jednego wnuka, kto wie, i tego przedemną
Jeśli nie weźmie sroga śmierć w przepaść podziemną.
Siedmdziesiąt lat ojciec, żyw pod serdeczną raną —
We dwudziestu dwu zdrowe dzieci żyć przestaną.

I odbiegła już Podczaszego wszelka ochota wychylać się z Łużeńskiego dworu, choćby i w blizkie sąsiedztwo, lubo nie dawno temu bywało inaczej:

Kto mię znał przed kilką lat w pełnym dzieci domu,
Pięknych, grzecznych—nie dałem przed sobą nikomu.
Był honor z łaski Pańskiej; był respekt u braci;
Umysł zawsze wesoły; niechaj się bogaci
Odymają z pieniędzy—ja na jednej wiosce,
Żadnejem, choć przypadła, nie podlegał trosce.
Kwitnął mi świat, przy zdrowiu, szlachecki dostatek;
Szkodym nieczuł; na ziemi był nieba zadatek.
Patrząc na piękną córkę, wychowane syny,
Wypadły, jeśli jakie były w głowie, kliny.
Dziś, żem ich był nie godzien przed Boskim obliczem,
Wszystko mnie to odpadło i stałem się niczem.
Honor mój wziął kto inszy; w braterskie-li koło
Wnidę, choć zmyślam, nie śmiem nikomu wesoło
W oczy wejrzeć; zda mi się, że mojej odmianie
Zły urąga, a dobry kiwa głową na nię.
Widzę grzecznych, pomyślę: i jam też miał takich;
Jeśli opak—nie miałem ja tak ledajakich.
Zgoła, gdzie pojrzę, wszędy okazya płaczu;
Leżę sercem, jako tram, przybity na traczu,
Póki śmierć tego forztu, bo mi żywot mierźnie,
Rzeką łez ustawicznych do trumny nie zerźnie —
Ba wątpię, mrąc bez dzieci, mrąc sierotą, że mię
I potka; bodaj nago wrzucił kto pod ziemię!

Rzadkiż dziś miłosierdzie pokaże nad żywym,
Daleko mniej nad martwym trupem nieszczęśliwym.
Ufam synowej mojej, że nie spasie kruki;
Mnie pogrzebie, wychowa w cnocie moje wnuki.

Z dziedzińca ruszył Podczaszy zajrzeć do stajni i do gumien, rozmówić się z pisarzem prowentowym, zażądać, dla porządku, regestrów. Gospodarka na podgórskiej Łużnej, bogatej w lasy i wodę, a ubogiej w urodzajną glebę, zbytnich zysków nie dostarczała; wyspowiadał się z tego, acz w tonie żartobliwym, sam Podczaszy w wierszu „Inwentarz podgórskich majętności," bo co innych włości, z ich tak dziwacznemi nazwami, tyczyło się i Łużnej:

Żebym dosyć Twojemu uczynił żądaniu,
Pytałem się w Podgórzu o wsi na przedaniu,
Od Gorlic do Grybowa—te leżą przy Ropie,
Te przy Białej, celniejszych rzekach w Europie.
Kraj we wszystkiem bogaty. Z rajfurami zaczem
Zniósszy się, oznajmuję. Jest *Jamna z Widaczem*,
Zbęk, *Pogwizdów*, *Wiskidna*, *Żebraczka*, *Wygodna*,
Poświt, *Bieśnik*, *Biedowa*, *Skrzętła*, *Gwoździec*, *Głodna*;
Pobiednik za *Wytrzeszczką;* tymże idą szykiem
Smrokowiec z Pogórzynem, *Kiprzna z Sikornikiem*,
Polichta z Miciakami a *Kanina z Nowem*
Wielką w górze dęrewnią świecą *Berdechowem*.
Wesoły, *Opłakaniec*, *Litacz* i *Kołkówka*
Zalecą się, choć o nich nie napiszę słówka.
Sławny *Obzdów* statutem, gdzie, nim pójdziesz w górę,
Samo pojrzenie radzi wylekczyć naturę.
Tudzież *Skwiertne z Wierzchowcem*, *Golesz i Ptaszkowa*,
Oderny z Derepczynem, *Kudbrzyn*, *Zyndranowa*.
Prawda, że się pszenica nie rodzi i żyto
Ale owies nagrodzi robotę sowito:
Wysiejesz korzec, z korca kopa będzie pewnie;
Z kopy korzec, prócz tego co idzie do plewnie.
Buk raz w dziesięć lat kwitnie; kto nachowa świni,
Nuż żołądź! nuż orzechy! szkody nie uczyni.
Zima na święty Michał swój miewa początek;
Najeździsz się na saniach do Zielonych Świątek.
Drwa—tylko w piec nie lezą. Samo się zaleca
Miejsce, bo prawie wszędy może być forteca.

Ptastwo krzyczy cały rok; nie uświadczysz strzechy—
Wieś pod gontem: tu oczom, tam uszom uciechy!
Tam każdy ptak do cieplic, jąwszy na Suchedni,
Lecąc pasie — pożytek i to nie pośledni,
Bo ohociaż co zostanie w polu, wszystko zobie,
Sprawi rolą, gdy nawóz zostawi po sobie.
Gdzieindziej sieją, orzą, gdy się wiosna wraca,
Bydła pasą, tu—jeszcze gospodarz domłaca.
Powódź nigdy; grad, chociaż na każdy rok spada,
Albo mało, albo też nic szkody nie zada.
Nie wynidzie zwierzyna nigdy ze śpiżarnie;
Kto ma sieci, psy, chłopy, zawsze pewien w sarnie.
Ryba: łosoś, pstrąg, lipień, kiełb, jelec; jeśliże
Będzie wola co z tych jeść—najpewniejsze śliże.
Jaszcze, miski, talerze i sprzęt z drewna iny;
Byleś miał rzemieślnika, nie kupujesz cyny.
Huta tuż; zdrój pod górą kryształowej wody,
Bo się tu ani piwa, ani rodzą słody:
Owsiana gorzałeczka i kozia żentyca —
Tak u chłopa dobra myśl, jako u szlachcica.
Konia tam nie zażyjesz, bo by strącił karki;
Saniami kopy lecie wożą na folwarki.
Młyna niemasz co prawda; w stępie tłuką krupy.
Powietrza nie bój. Co rok wiatr odrze chałupy.
Chcesz sąsiadów? Upewniam, że nie upośledzą:
Nie pianiacze—piekarze, i w nocy nawiedzą!
Chcesz mieć całe—nie tam spij, kędyś posłał—boki.
Siałeś? gródźże dla dzikich świni płot wysoki,
Bo tam sierpa nie trzeba, chceszli co siec? kosą.
Gęsi też, ani kury—i to pisz—nie niosą,
Bo je liszki, owce—psy, dzieci—wilcy jedzą.
·Pszczół nigdzież przed napaścią nie schowasz niedźwiedzą.
Ale też, jeśli które w dół za kaczką wleci,
Przypłaci futrem gęsi, baranów i dzieci.
Inszych drobniejszych rzeczy i wspominać szkoda;
Bo wszystko w pomieszkaniu nagrodzi wygoda,
Prospekt w dalekie strony, tuż niebieskie sfery,
Pogasły przy Krakowie nowe belwedery!
Masz, co tylko pomyślisz—krom jednego chleba
A odzienia: to kupić—gdyby za co—trzeba,

Nie przynosiło więc gospodarstwo w Łużnej zbytnich intrat; nie wymagał ich też ziemianin, lubujący się w cichym a skromnym żywocie, brzydzący się zbytkiem i przepychem. Usposobienie to przebijało wszędzie, począwszy od ubioru i mieszkania, staroświeckich, bez jakichkolwiek alamod.

Podczaszy nie podgalał czoła; nosił się nie po węgiersku i turecku, tem mniej po francusku, a z peruk i szpad drwił tylko; dwór zostawił tak, jak go był objął, bez przebudowań i przeróbek, i zwało się tam wszystko po dawnemu izbą, alkierzem, komnatą, sienią, gankiem; — o gabinetach, alkowach, garderobach, galeryach i słychu nie było; dwór okalały po staremu płoty, nie było, jak u sąsiadów „parkanów w koło, baszt w nich po wszystkich rogach," jakby przeciw inkursyi tatarskiej; nie było nawet modnego ogrodu włoskiego, bo to, co Podczaszy założył, szumnej nazwy nie usprawiedliwiało, więcej było też z tego żartów, niż okazałości; za to wisiały w sieniach cenne zbroje, czeczugi, strzelby, w stajniach chowały się rumaki, a wszędzie ład dostatni. Jadał Podczaszy również wedle starego bytu: po rannem śniadaniu, polewce piwnej lub mlecznej z grzankami, jajach z sałatą, następował, między dziesiątą a dwunastą, obiad, krótki, choć obfity, bez owych licznych dań, z których nim jedne zbierano, drugie wystygały i krzepły; składały się nań zwykle barszcz, bigos, pieczeń „domowego jelenia" z ogórkami, ulubiony kapłon na ryżu, gąska z powidłami, kuropatwy, jako ceniony przysmak, zając i sarna, w poście ryby; na podwieczorek znowu polewka, a wieczerza mięsna; z legumin ryże i kasze, bez wszelkich nowomodnych wymysłów, dobrych chyba dla kobiet nie dla mężczyzn. Kawy Podczaszy nie pijał, tytoniu nie palił. Tylko w napojach postępował za czasem; więc nie delektował się już samemi piwami i miodami; głównym trunkiem było wino, sprowadzane rok rocznie z Preszowa; z kupcami węgierskimi utrzymywał Podczaszy stałe stosunki, sprowadzał wina i dla sąsiadów, przyczem nieraz własnem doświadczeniem sprawdzał przypowieść: „Najlepiej sąsiadowi w mieście kukiełkę kupić:"

...(Sąsiad) Słysząc, że szlę po wino sobie do Preszowa,
Pisze, prosząc, żeby nań kupić beczek parę,
Na faktora mojego spuściwszy w tym wiarę.
Każę, choć furę jego beczkami obciążę;
Pieniądze dam, że przyjaźń jego obowiążę.
Skoro wina dobrego stanęły gatunku,
Kosztuje (nie ze wszem się znając na tym trunku).
Każde bywało dobre dotąd w cudzym domu.
To ostre, nie łagodne, widzi się, skoro mu

Płacić przyjdzie a jeszcze cesarską monetą
— Po szelągach nic w węgrzech—a najwięcej się tą
Odraża wadą, bowiem nigdy na litkupy
Nie wysuł jakiej trzeba dziś pieniędzy kupy.
Więc dobrodzieju! rzecze, kiedy nie do smaku,
Wolę już garniec piwa pić po półtoraku.
Dosyć wina chudemu pachołku w chorobie,
Dosyć łaski podpić niem u Waszmości sobie.
Markotno mi, drugi raz, gdyś chudy pachołek,
Nie beczek wina, rzekę, parę każ kukiołek
Kupować, bo te sam zjem, jeśli się nie zdadzą,
A twoje nazad ci się dwa grosze oddadzą.
Na sąsiedską piwnicę—w tym cię nie zawiodę—
Kto się spuszcza, nie zawsze swoję ma wygodę.
Zjadszy: daj chłopcze wina, niech w brzuchu pokisa.
Aż mój wąsy po każdym kieliszku osysa.
O jaka prędka, rzekę, w tym winie odmiana:
Teraz dobre a było nie łagodne z rana?
Znowu-by odpowie ów, nie wiem jako komu,
Ale mnie, dobrodzieju, zostrzało w mym domu.

Prócz wina w piwnicy, bywała gorzałka w domowej apteczce, z hanyżem, zażywana przed obiadem. Podczaszy sam przestrzegał, mimo urzędu, ścisłej miary w napojach; dla towarzystwa tylko upijał się czasem, co potem wielkim niesmakiem przypłacał; od hulaszczych biesiad stronił więc z zasady i przed gorliwem spełnianiem kielichów wymawiał się, ile mógł, lecz, że „Prośba przyjacielska stanie za rozbój," doświadczał nieraz, jak i niedawno temu, gdy:

Do omycia w kościele pierworodnej winy,
Przyjaciel i krewny mój prosił mię, na krzciny.
Że prośba przyjacielska gorsza od rozboju,
Choć i starość i zdrowie swego chce pokoju,
Nie mogąc się wymówić, obojga uchylę.
Jadę w niepogodny dzień, złą drogą, o milę;
Z kościoła, choć już słońce z południa się kłoni,
Po długiej na krótkim dniu, do wsi, ceremoni.
Ochota przy dostatku, gdyż pełen dóm braci;
Jednak zbytnia przynuka w obojgu czas traci:
Gdzie racyje nie idą, tam gwałt i niewola.
Mrok pada; nie chcę naprzód puścić mię z zastola.

Jeszcze były poważne białogłowy ze mną;
W domu dziś być koniecznie, choćby przez noc ciemną,
Klękam i przysięgam, że już wina nie mam gdzie lać;
Stać na nogach nie mogę, pijana i czeladź. —
Oknem trudno wyskoczyć, a izba zamknięta,
I tego tylko czekam, że każe kłaść pęta.
Przecież, jakbym co ukradł, gospodarską zrzędę
Przełomiwszy, uciekę i w karetę wsiędę.
I tu pić; końmi ruszyć nie widzę sposobu,
Kiedy ją z kielichami zalegą z stron obu.
Wylazszy, idę pieszo o kiju za wrota:
Toż wino, taż muzyka, taż i tam ochota!
Nie gorzej na praszczętach, odbierając plagi,
Przez rózgi przepuszczony dragon biega nagi.
I nie pierwej się wydrę z tak gorącej łaźni,
Aż i palca nie widać; gdzie w srogiej bojaźni
Wleczemy się, omacką, w srogim strachu, żeby
Szyj, rąk, nóg nie połamać przez dzikie werteby.
Stangret, ślepy; forytarz, drogi nie wiadomy,
Chybiwszy jej od samej zaraz zbłądził bromy.
Wysiadamy, gdzie konni namacają dołek —
Aż naprzód spadł pod koła pijany pachołek,
W którym wszytka nadzieja; aż woźnica z kozła —
Nikt nie postrzegł i długo za końmi się wiozła
Kareta sama, póki tego sługa któryś,
Czy trzeźwiejszy, niż owi, nie obaczy foryś.
Stoimy; konni w różne strony się rozbiegą,
Nim po świetle z daleka chałupy postrzegą.
Toż sprowadziwszy chłopów, nie bez munształuku (podarku),
Dochrapiemy się domu prawie na bałuku (na czworakach),
Nabrawszy, za zgubionych siłę rzeczy, błota.
Takić pożytek zbytnia przynosi ochota.
A mnie głowa i wszytkie dotąd członki bolą.
Dałeś cześć, dajże dobrą, gospodarzu! wolą:
Jakby też dzień bez słońca, bez niej—chyba że tym
Chciałeś od swego domu odtręcić bankietem.
Kładąc za politykę, abo że przymilą
Przyjacielowi, wielce wszyscy się tu mylą.

Miernemu trybowi życia odpowiadała i służba dworska, nie zbyt liczna, ani strojna, mało w niej drobnej szlachty, żadnych cudzoziemców, głównie—(próby z chłopskiemi wyrostkami się nie udawały)—„miejskie

synki" z Biecza lub Krakowa, chowane w ścisłym rygorze, choć bez tyranii. Gdzie potrzeby nie było, występował Podczaszy bardzo skromnie; nie sadził się np., jak spółcześni, na cugi i karety:

Niech kto mosiężne szory, złocone karety
Sprawia; niech sprzęga frezy; forysie, stangrety
Karmi, stroi, pachołkom srebrne kuje pasy —
Mnie w półszorek zaprzęże parę do kolasy
Rażny Maciek w siermiędze; drugiego Bartosza,
Żeby, gdzie źle, zatrzymał, chowam od łogosza.
W ostatku kościół blizko; dójdę i o lasce.
Daj pokój, Maćku, klaczom! daj, Bartku, kolasce!
Na cóż psować półszorek? Niechaj ssą źrebięta.
Lepiej chować oboje od większego święta,
Na kiermasz, do sąsiada. (Słychiwałem ja to,
Że wielki on żałował umierając Kato,
Gdzie mógł wozem zajechać, że na łodzi pływał,
Gdzie na nogach zajść, wozu i koni zażywał [1])

Wobec skromnego, jednostajnego trybu życia, zwykły dzień powszedni zbyt wielu resurs, rozrywek, a choćby zajęć wcale nie obiecywał. Z góry odpadała jedna z najwalniejszych, myśliwstwo, nie nadające się więcej dla starca, włóczącego się o kiju. Za młodszych lat uprawiał je Podczaszy z wielkim zapałem, ruszał w liczniejszem towarzystwie na całe dnie lub tygodnie w owe nie wytrzebione, obfite w zwierzynę, knieje podgórskie; dotrzymywał chętnie placu i przy winie, opowiadał nawet sam przygody myśliwskie, za jakie-by go w Banie, opowiadał urząd wielkiego łowczego pewnie nie był minął; np. ową historyjkę, na temat „Od niechcenia zjadła baba prosię," dla której miała zostawać „Przy autorze wiara:"

Jadę z pola z Krogulcem ku domowi lasem
Dla chłodu; srodze był dzień gorący tym czasem.

---

[1]) Przypowieść p. t. „Nie dbam o konie, gdzie mogę pieszo dójść". Te i inne rzeczy przytaczamy z dwóch olbrzymich foliantów rękopiśmiennych', Ogrodu i Moralia, liczących z górą sto tysięcy wierszy, przechowanych ze zbioru Załuskiego w Bibliotece Publicznej Petersburskiej. Dokładniejsze sprawozdanie o materyi tych foliantów, jak i o całej rękopiśmiennej spuściźnie po Wacławie Potockim, podamy na innem miejscu. Wiersze—prawie wszystkie zupełnie dotąd nieznane—przytaczamy z reguły w całości, nie mijając i tego, co z naszemi celami mniej się wiąże; w innych razach ostrzegamy kropkami o wypuszczeniu słów lub ustępów-

Tuż przy drodze, pod cieniem oganistej sośnie,
Którą z daleka gęsta ostręga zarośnie,
Leżący jeleń kiwa uszyma na muchy.
Rwie się ptak; myślę sobie: postrzegł jemiołuchy.
Ale gdy tego będzie aż do uprzykrzenia,
Puszczę, a mój krogulec za ucho jelenia.
Zląkłem się, słysząc w blizkim łoskot krzaku
I rozumiejąc, że dzik, upatruję pniaku,
Aż wielki rogacz, mając dzwonków pełne uszy,
Jakoby go stem chartów poszczwał, z miejsca ruszy,
I nie mogąc łbem rzucić prze gęstwinę srogą,
Chce, co wskok, importuna z ucha zepchnąć nogą.
— Zwyczajnie strach rozmyślać niedopuścił—którą,
Że mu zaraz zapadła za róg pierwszą forą,
Związał się: ja też z konia chyżo do tasaka;
Poderznąwszy mu gardziel, nakarmiłem ptaka,
A mając pełen wacek inszego obłowu,
Przyszło mi po jelenia z wozem jechać znowu.

I dziś jeszcze chował dwór Łużeński wszystko, co do łowów należało: było podostatkiem ludzi, psów, koni, ptaków, sieci; lecz Podczaszy już się sam na łowy nie wybierał; z dawnego nawyku pozostało rozumienie o rzeczy i chętne używanie terminów, przysłów i porównań, wziętych z łowiectwa, np. wspomnijmy przypowieść „Z kanią na przepiórki, z chłopem do nauki:“

Żeby kupił jastrząba, szlę na jarmark psiuka;
Aż on zdrajca przyniósł mi młodego kaniuka.
Nie oglądawszy chowam; kupuję pieczonki;
Każę przywieźć z Krakowa odlewane dzwonki.
Skoro go brać na rękę, aż nikczemna kania;
Żałuję, ale późno, kosztu i chowania.
Uwiąż na żerdzi, niechaj wróble z prosa straszy,
Niemoże do przepiórek, pomoże do kaszy.
Wziąłem też chłopca ze wsi dla swojej wygody;
Każę czytać i pisać nauczyć go wprzody;
Potym mu sprawię suknię, zruciwszy siermięgę.
Aż widząc pijanicę, kostyrę, mitręgę,
Gorsza, że czegokolwiek niecnota dopadnie,
Zapomniawszy mojego dobrodziejstwa, kradnie,
Daremny koszt i praca, jako kanię z kojca,
Każę iść złodziejowi paść wołów do ojca,

Żeby, jeśli rękami nie przestanie gonić,
Nie przyszło zaś na drągu, jako kani, dzwonić.
Ciągnie wilka do lasa, do roboty gbura —
Zaraz kradnie, skoro pług położy—natura.
Jeden się ze sta nada, i to na forysia:
Niepodobna przerobić, mówią, psa na rysia.

Zrzekł się więc Podczaszy i myśliwstwa, i wszelkich dalszych przejażdżek; nawet zimą.

Starzec przy kominie grzanki w piwie topi
A co raz pisanego nachylając garca,
Już syty tego świata, wyczekuje marca.
Nie idą mu w gust żadne przejażdżki i sanki;
Zjadszy zęby, woli ssać rozmoczone grzanki.

Szczególniej stronił od przejażdżek saniami; zwał je *insanire* (szaleć), korzystając z łacińskiego i polskiego spółdźwięku. Nie dziw, że Podczaszy—prócz nieodzownej drogi—teraz wózkiem lub wierzchem chyba tylko w pole ruszał, by dojrzeć orki lub siewu; ale już i za młodych lat bynajmniej go podróże nie nęciły; był z niego zawzięty domator, jak z każdego prawdziwego szlachcica starej daty. Jak i Rej, nie ruszył nigdy Podczaszy za polskie granice; opisując np. położenie Małych Strzelców, wioski, którą dla syna, Jerzego, od starosty kowalskiego (Władysława Morsztyna) i za radą jego był kupił, wspomniał wyraźnie:

Z tę stronę Uszew szumi, z drugą Raba bierze...
Jakbym był w Holandyej, *nie bywszy nikędy.*

Tylko służąc jakiś czas wojskowo, był nieco dalej na Rusi, we Lwowie, w Kijowie, gdzie w Pieczarach widział i ciało olbrzyma (Czobotka), jak wiemy z wierszy:

....Podobnem też w Kijowie widział ciało,
Któremu Ruś, twierdząc, że olbrzym bywał srogi,
Od głowy, brzuch przykrywszy, precz odwlecze nogi.
I kiedy chcę obaczyć wszystkie jego członki,
Nie pozwolą, dla grzechu, uchylać zasłonki.

Ponieważ nie był pieniaczem, więc ani na trybunały nie wyjeżdżał i zapoznał się z niemi dopiero od r. 1682, gdy jego drugi syn, Je-

rzy, takiż gorączka jak i ojciec, na śmierć poranił własnego szwagra, podstolica, Jana Rościszewskiego, jak to Podczaszy w przypowieści („Z pokoju niepokój") opowiedział:

— Przeżyłem od młodości, lat sześćdziesiąt minie,
Razu w Piotrkowie, razu nie bywszy w Lublinie.
Żyłem w pokoju, jeśli zwać może pokojem,
Kto nie miawszy kłopotu, płacze w domu swojem
Syna, córki i żony; przeciem łzy ocierał
Drugim synem, który mi jeszcze nie umierał.
Aż przeciwna fortuna, żałosna przygoda,
Sztych mi w ostatnim synu nieodbity poda,
Nie dawszy się mi w domu aż do końca—takać
Śmiertelna kondycya—spokojnie wypłakać.
Gdziem i Lublin i Piotrków, z niezwykłym zapałem
Oczu, nawiedzać musiał, bawiąc trybunałem.
Cóż, ledwiem się wywikłał z ciasnej prawu matni,
Nagle mi z świata schodzi on mój syn ostatni,
Już niemasz czym łez otrzeć; pokój, a cóż po nim?
Wolał-bym wozem, wolał do śmierci się koniem
Trudzić po trybunałach, ratuszach i grodach;
Żebrać a wiedzieć, że żyw, choć z skróceniem zdrowia.
Tak ci się we mnie prawda spełniła przysłowia:
Im dłuższa malacya (cisza) morze uspokoi,
Tym większa malicya gorszą falą broi.
W Bogu jednak nadzieja, że z tak ciężkiej nuży
W grobie wprzód, potym w niebie, pokoju przedłuży.

W tych przejażdżkach na sejmik, do grodu, na trybunał, trafiały się i komiczne wypadki; dwa takie, malujące czasy i ludzi, choć się nieco kłócą z przysłowiową, staropolską gościnnością, opowiemy wedle wspomnień Podczaszego:

Jedzie nas trzech z sejmiku imo dwór szlachecki:
Sam stał na grobli; baba w stawie płócze niecki.
Prosi na wstęp. Wstąpimy, bo południe blizko.
Każe wskok do obiadu zakładać ognisko.
A tym czasem do izby prowadzi nas siedzieć,
Chcąc się czego o przeszłym sejmiku dowiedzieć.
Prawimy, ale się nam na żołądku zwija,
Gdzie nietylko południe, lecz śródwieczerz mija.

Już byśmy po pieczeni w karczmie przy ogórku
Jechali, nie czekając jego podwieczorku;
Dawno-by konie obrok zjadły. Ów się boży,
Że owsa nie namłócił. Wolałbym najdrożej
Kupić w karczmie, niżeli siedzieć jak na szydłach
Dla kapłon'a tłustego lub gęsi w powidłach,
Choćby i kuropatwa i cukrowe wety.
Jakoż patrząc na obrus i świeże serwety,
Przejrzał-by się w talerzu, bo dopiero z szkuty.
Trzy godziny to leży na stole dla buty.
Wielka apparencyja przyszłego obiadu —
Nie było-by inaczej, pomyślę, do ładu.
Aż też niesie parobek barszcz, w kowanym pasie,
Panna petrecymentu tlaszkę. Pojrzym na się,
Żałądków rano wódką zagrzawszy z hanyżem,
Ostrzyliśmy apetyt na kapłona z ryżem.
„Radem wam, bracia, ale jako szkolne pensa
„Uczą nas, będzie—prawi—sine arte mensa (obiad bez kunsztu).
„Błomuz, Potaż i Frykacz, francuskie to brydnie:
„Proszę na ten barszcz polski, póki nie ostydnie".
A w barszczu trzy zapartki koło kury suchej.
Znać w nim tydzień kucharka płókała pieluchy;
Kwokę, pomyślę sobie, a z nią wraz i jajca
Nie wylęgnione, dla nas kazał warzyć zdrajca.
Potym kaszę jaglaną dla nas kuchmistrz niesie,
Tak twardą, że pies skoczy a nie załomie się.
Toż syra, bo z kapustą nie każe się kwapić,
Żeby petercymentu było poczym napić.
Więc niejadszy, niepiwszy, że już ku wieczoru,
Porwiemy się do karczmy nie daleko dworu,
Napatrzywszy obrusów i Gdańskiej się cyny:
Co masz w wozie, kucharzu, daj miasto zwierzyny!
Na pieczeni przy kaszej pozbędziem oskomin.
Niech mija, komu w drogę, murowany komin!

Odwrotnie twierdziła pospolita przypowieść: nie mijaj murowanego komina; lecz Podczaszy miał słuszność ze swoją przestrogą; doświadczył tego i innym razem:

Już na moim zegarku minęła dwunasta;
Piasek wielki a jeszcze dwie mili do miasta.

Aż wieś, ale w niej karczmy niemasz, nawet wody;
Ani tu koniom, ani mnie będzie wygody.
Kto tu mieszka? Pan Cześnik. Dobre omen, rzekę;
Biegąj chłopcze z służbami i sam nie odwlekę
Kłaniać się Jegomości. Znowu mi żal srodze:
Nuż mię puścić w tak pilnej nie będzie chciał drodze,
Ile nieznajomego dotąd sobie człeka?
Tym czasem chłopiec wróei i powie że czeka.
Tym czasem się też słudzy od chłopa dowiedzą,
Że i owsa dostanie, konie obrok zjedzą,
Że i piwa od żyda, wody z dworskiej studni
Przywiozą; możemy tu odprawić południe.
Jest wino w karawanie, kapłon i pieczenia.
Niech się, rzekę, zakrzątnie kucharz do jedzenia;
Miejcie się wy tu dobrze a ja w słowie stawię;
Na koniu tam dojadę, długo nie zabawię.
Zsiędę zatym do ganku i wchodzę do sieni.
Aż też pan Cześnik ze drzwi; cera mu się zmieni;
Wita mię niewitając; prosi jak przez zęby;
W izbie psów pełno, smrodu tyleż, siekierę-by
Mógł zawiesić, atoli, nim na ławie siędę,
Pomieszany, na krótkie quanquam się zdobędę:
Nie zdało się starego opuszczać zwyczaju,
Bywszy w tym, jak zacnego człeka mijać, kraju,
I to, com słyszał, widzieć, choć mię i daleka
I pilna droga w sprawach trybunalskich czeka;
Za wielką cześć poczytam swojej to fortuny,
Lecz żebym nie był liczon między importuny,
Nie zabawię. Gospodarz na mą oracyją:
Proszę siedzieć—nic więcej. Aż ci cię zabiją,
Pomyśliwszy, usiędę; na wąpiu mi ckliwo.
Aż chłopiec w guńce stawia na stół z kuflem piwo.
Powiedam mu, jakie mam nowiny; ów słucha,
Aż mu na rękę siadła niecnotliwa mucha.
Plaśnie ją drugą ręką, że na ziemię spadnie:
Awoż gość nieproszony. Zedrwiałem szkaradnie.
Patrz djable, gdy się i mnie, toż co musze, stanie.
Porwę się: Bądźże waszeć łaskaw, Mości Panie!
A ten podniosszy zadku: Czemusz Waszmość kwapisz?
Wsiadając na koń rzekę: I to sobie napisz:
Mijaj w drodze z wizytą murowany komin.
Więc pełen do swojego kapłona oskomin,

Do chałupy z żołądkiem przyjechawszy próżnym,
Chociaż słudzy żartują: Dawaj go i z rożnem.
Postrzegł Cześnik, że podrwił, ale już po czesie;
Dwie kurze chude sługa z flaszą wina niesie,
Nie ujrzał-by w niem żaby; z pełnej, rzecze, beczki;
Wiązkę siana dla koni i wór gołej sieczki.
Wino mętne mi szkodzi, bom na kamień chory;
Kury nie rychło warzyć; i te z sieczką wory
Podziękowawszy odnieść, siano do stodoły
Schować; już moje konie zjadły obrok goły,

Skoro więc ani łowy, ani przejażdżki w bliższe lub dalsze sąsiedztwo, Podczaszego nie nęciły, zostawał w kraju gościnności inny jeszcze resurs: samemu oczekiwać w Łużnej, kto się zjawić raczy. Niestety, gość pożądany bywał tu już rzadko; owdowiała synowa, nie wchodząca, mimo licznych konkurentów, w nowe związki, i już dla tej stałości ceniona nadzwyczaj od teścia, Aleksandra z Rościszewskich, rezydowała z wnukami—(było ich troje, lecz jedno umarło wcześnie)—w Sędziszowicach, i zjeżdżała do Łużnej chyba wyjątkowo. Inni przyjaciele, Morsztynowie (Władysław, Seweryn, Stanisław, wojewoda i poeta), lub sędzia i stolnik krakowski, Andrzej Doliwa Żydowski, również poeta, mieszkali zbyt daleko; w Łużnej kobiet nie było, ani towarzystwo, ani kuchnia, tylko piwnica, dobrze zaopatrzona, nęciła przychodniów. Byli między nimi natręci, zabierający niedyskretnie drogi czas gospodarzowi, pieczeniarze, chciwi kąsków i winka, żebracy, co zamiast drażnić poprostu psy dworskie, w imię szlacheckiego braterstwa wymagali, jeśli nie gościny, to choć cierpliwego słuchania o kolligacyach, o losach fatalnych i o aspektach na przyszłość, aby obfitszy datek wyłudzić. I rzadko zdobywał się Jegomość na doraźne postępowanie, tak były mu uświęcone obowiązki gościnności, choć sekretnie nieraz na nie wzdychał, skarżył na importunów, uczył nawet, jakby się ich dyskretnie pozbywać:

Niech siedzi, póki raczy; porwie się, nie trzymać,
Ani za rękę, jako drudzy czynią, imać;
Stoi, stać; gada, słuchać; jeśli kłania, kłaniać;
Chwali kogo, abo sam siebie, nie przyganiać.
Robi co z uprzykrzeniem, abo niedyskretnie,
Przecięż mu drogę do rzwi pokazować szpetnie.
Jeśli chcesz być u ludzi zwany politykiem,
Wiedz, że gospodarz w swoim domu niewolnikiem.

Mizerna i niewolej dola niedaleka,
Zostawać w dyskrecyi pijanego człeka!
Ale że taka moda, trudno wynić z światu,
Trudno czynić i z ludźmi i z grzechem rozbratu.

Mało to pomogało, jak widzimy ze skargi Podczaszego w przypowieści „Uprzykrzona mucha:"

Muchę zabiwszy pokój, ale co za rada,
Mając niedyskretnego o miedzę sąsiada?
Co jeść, co pić, to mniejsza, bo kuchni należy —
Lecz kiedy przyjechawszy na karku mi leży,
Siedź z nim, żeby nie tesknił, baw, praw, bo inaczej
Oszczeka cię. A tego importun nie baczy,
Że już jako na szydłach ledwie z nim dosiadam,
Że co innego myślę, co innego gadam,
Abo co on, nie słucham, nie uważam, powie,
Mając inszy w swej koncept do pisania w głowie.
Gdyżby jaką potrzebę słuszną miał gościny,
Nie żal-by mnie choć marnie strawionej godziny;
Lecz żeby, sam nie mając czym bawić w swym domu,
Nie tesknił, chce tesknicę w cudzym zrobić komu.
Cóż jeśli się z nim jeszcze zawsze trzeba upić —
Wolę mu się, posławszy w dom wina, wykupić!
Chociem jeszcze u niego i razu nie gościł,
A on i w powszedni dzień nawiedza mój kościół,
Byle dzwonu dosłyszał; to jednak nie ładem,
Że nabożeństwa często przypłacam obiadem,
Często wieczerzą, choć ksiądz nie śpiewa nieszporu,
Jeśli klecha na chmury dzwoni ku wieczoru.

Tylko raz sprzeniewierzył się Jegomość zasadom, zdającym gospodarza na samowolę gościa, a wypadek opisał, jak następuje:

Zacny szlachcic przyjechał do mnie po pijanu.
Wielcem rad, rzekę, memu mościwemu panu,
Proszę siedzieć. Daj wina; łowcie, choć noc, ryby
(Piątek był). Cierpię, jakby wsadził mię kto w dyby.
Gość, to kieliszki tłucze, to winu przygania;
Za każdym słowem do nóg niziusieńko kłania,
Że już krzyżów nie czuję, dźwigając od ziemie
Okrutnie uprzykrzone, pełne wina brzemię,

Nie wina, lekkie wino, upije na garcu,
Dźwigając jęczmiennego półachtela marcu.
Dano zatem wieczerzę; nie je, ale ciska
Po obrusie z każdego potrawę półmiska.
Siedzę, jak na praszczętach. Już dwunasta mija,
Gość i mnie wielce trudzi, i sam niedopija.
Pytam myśliwca, siłu zajęcy dziś troczy,
Aż gość kieliszkiem wina zaleje mi oczy.
Bić, choć miał kto i było o co, gościa pewnie!
Ale trudno zniewagi mścić na martwem drewnie.
Choć mu łają, nie słyszy; niemym siedzi kołem,
Jakby go ćwiekiem przybił do ściany za stołem.
Kazawszy jegoż sługom wywlec go z zastola,
Drzwi zamknąć swym, niech spi kiedy jego wola
Nie wiemże, kto miał większą urazy przyczynę:
Czy gospodarz za oczy, czy ów za gościnę?
Mój drogi gościu! racze-że drugi raz mię mijać —
Nie piwszy z młodu, ciężko na starość w lot pijać —
Abo w dom przyjacielski przyjeżdżaj, skoro się
Wytrzeźwisz, nie chcesz-li spać pod niebem na rosie.
Mali tego być więcej, kwituję z przyjaźni...
(Bo) gospodarzem, ani gościem towarzyszę
Z tym, co dziką bestyą zapiwszy oszalał:
W mym domu winem, w swym-by u.... mię zalał.

(Przypowieść p. t. „Miły gość, co pożytek przyniesie"). Tak drastycznego środka chwycił się, powtarzamy, raz tylko gorąco kąpany Jegomość; jakie zresztą męki i nudy od nieproszonych gości nieraz cierpiał, widzieliśmy wyżej i przytaczamy jeszcze jeden przykład, z przypowieści „Bodaj zawsze gościem być nie gospodarzem":

Ledwie co, chcąc dochodu liczbę i szafunku
Z swym uczynić pisarzem, siędę do rachunku,
Aż mi, że gość przyjechał powiedają chłopcy.
Pytam się, kto? Nie wiedzą; tylko, że człek obcy.
Poskrobawszy się w głowę, porzucę papiery.
Idę przeciwko, choć znać nieochotę z cery.
Toż do izby, toż za stół; dadzą potym wódki;
Odjedzie, myślę, czas tu zabawiwszy krótki.
Aż mój gość, odprawiwszy służby i ofiary,
Przeżegnawszy, nachyli z akwawitą czary.

Skrzywił gębę szkaradnie, nos palcami ścisnął.
Rozumiałem prawdziwie, że się nią zachlisnął.
Słucham, co dalej powie; aż wypiwszy drugą,
Dosyć to, rzecze, wielka woda idzie strugą;
Zła droga i na deszcze znowu chmury rosną,
Tak bywa, gdy graniczy—rzekę—zima z wiosną.
Siedzę; mówić nie wiem co; pytam o awizy,
Nic nie wie; aż mi chłopiec: jużci jego fryzy,
Chude, stare, jako dwa wymorzone raki,
Wyprzągszy wiódł woźnica, gdzie stoją rumaki;
Jzeszcze jeden nosaty, a drugi ma parchy.
Biegaj, niech gdzie do chlewa wyprowadzą marchy.
Posyłam, bo dziesiąta była na zegarze,
Niechaj obiad czym prędzej wydają kucharze.
Dano jeść; najadszy się, napiwszy, za stołem —
Już mu szkapy obrokiem nakarmiono gołem —
Czekam, rychło się porwie; uskarżam się przed niem
Swych trudności, aż on mnie, co było pod Wiedniem
Przed trzema laty, pocznie, chwaląc się, powiadać.
A woźnica, gdzie każe, pyta, rzeczy składać.
Tam do kata! pomyślę; ale gdy inaczy
Być nie mogło, rozkaże słudze, że naznaczy.
Ledwo mogę na owych praszczętach (mękach) dosiadać.
Przestanie ow; ja muszę, choć niemasz co, gadać,
Ucieszyć, zabawiać go, żeby mi nie tesknił,
(Choćby taki importun do śmierci się nie śnił!)
Jako czyni piastunka z dziecięciem dla płaczu,
Bawi go, śpiewa, różne ukazuje czaczu (cacko) —
Bo na to służy, a mnie co za myto czeka?
Drugi o......... węgieł, jeszcze dom oszczeka.
Tak on dzień przemęczywszy, skoro po wieczerzy,
Gdy gość nie chce, porwę się pierwszy do pacierzy.
Oraz przy dobrej nocy bardzo proszę, żeby
Nie miał za złe, że mając konieczne potrzeby,
Jadę z domu i każę czeladzi do koni,
Żebym nie czekał; a ów więc bez ceremoni
O rozmaite rzeczy do wozu mnie prosi;
Nakoniec, żebym kazał smarować mu osi.
Chętnie wszytko obiecam, żeby jutro rano,
Dla czego też i słońca nie czekał, wydano.—
Mizerna dyskrecyja: mało z gościem upić,
Że mu się jeszcze musi gospodarz wykupić!

Bywalić i milsi goście, lecz i znimi dosyć było zachodu, szczególniej jeśli Łużnę w większej liczbie najeżdżali, jak to Podczaszy opowiedział w przypowieści „Bodaj w małej kupie jesć, a w wielkiej się bić:"

Dawnej przyjaźni ze mną złączony obligiem,
Zacny senator w mój dom przyjedzie kuligiem:
Niespodzianie, gdyżem był odległym sąsiadem,
Z wielkim orszakiem i sług i przyjaciół. Radem.
Skoro po długich trelach z maszkar się wylenią,
Proszę, i co przy niej być może, na pieczenią.
Pozastawiano stoły; dano wina chustem;
Niech będzie znój, ma li być łaźnia; mięsopustem
Mięsopust; piwnica mnie, ufam, nie zasmuci;
Potym spać, jako rani ozwą się koguci.
Tymczasem, starożytnej, wdowcem bywszy, baby
Proszę o wczesny obiad, aż owa: trzebaby
Wołu i wieprza zabić; są kury, są gęsi;
Chleb też będzie, bo dzieżę kucharka nań mięsi.
Tam do dyabła! rychłoż to? przecież o obiedzie
Myślić; gotować ryby do mięsa przy środzie.
I tego ćwierć jeszcze jest; daleko do miasta;
Są cielęta, są skopy; niech narobią ciasta —
Gospodarska ochota ostatek nadstawi;
Czemu kuchnia nie zdole, piwnica poprawi;
Państwo ukontentować, młodszym nie przeciwić,
Owszem ich zrana trunkiem do tańca przychciwić.
Ale tak się, kuliga wczora goniąc, strudzą,
Że aż w twarde południe z barłogu obudzą.
Siędzie państwo, siędzie też i młódź za swe stoły;
Jednak jeszcze nasz obiad nie skończy się w poły,
My już syci w pół swego; oni, choć obrusy
Zbiorą, w pół nie dojedli, mając obiad kusy.
Do tańca ich namawiam, ale widzę z cery,
Że jakby drwił z trzeciego Bachus bez Cerery.
Tak bracia, kazawszy im nalać wina w szklanki,
Lepszy jeden wieczór niż dwa, rzekę, poranki.
Inakszej wam kolędy nad tę dać przestrogę —
Przyjmiecie od starego – choćbym chciał, nie mogę:
Bodaj się w wielkiej kupie zawsze bić, jeść w małej:
Tu wygoda gębie, tam grzbiet zostanie cały.

Naturalnie, do takiej ochoty okazya coraz rzadsza, chyba w karnawał się trafiała, nie spodziewać się jej też dzisiaj. Wrócił nareszcie Podczaszy z gumien i blizkiego pola na dziedziniec, ale nie długo też dosiadywał, wlekło go, mimo jesiennego piękna, coraz do izby. Czekały go tam regestra i rachunki, lecz nie dla nich on się śpieszył, uprzątnął je więc ze stołu, wydobył luźne pliki innych arkuszy, zapisanych od góry do dołu pięknym, czytelnym charakterem, choć już trzęsącą się ręką, pełnych przekreślań, wstawek, dopisków; przeczytał uważnie, na czem pracę dawniej był przerwał, i po raz pierwszy wypogodziło się trwalej oblicze Podczaszego. Izba, przylegająca do sypialnej, była zarazem i gabinetem, i biblioteką, i salą jadalną (gdy gości nie było); biblioteki swej nie umieścił bowiem Podczaszy, jak sąsiedzi, gdzieś na poddaszu, lub w jakim lamusie, na pastwę mólom, myszom i ogniowi; książki mu były przecież najdroższym sprzętem, i nietylko dla okazu. Biblioteka była zasobna w dzieła łacińskie i, już wówczas bardzo rzadkie, dzieła polskie. Składały się na nią teologia przedewszystkiem, wydania pisma św., które Podczaszy, już z tytułu Aryańskiego, całe na pamięć niemal umiał, postylle, np. Wujka, które chętnie czytywał. Nienawidził za to rzeczy i polemik dogmatycznych, tytułując je pustemi wymysłami głów pustych; gniewał się też na zwyczaj dysput religijnych, choć zawsze stawał, gdy bawiącego w mieście na nie zapraszano; szydził z dzieł i tytułów ascetycznych, np. z Gościńca prostego do nieba (ks. Dzielowskiego, r. 1677 już po raz trzeci wydanego), gdy do nieba tylko wązka i stroma ścieżka prowadzi. Oprócz rzeczy teologicznych, posiadał historyków, z których najwięcej Tacyta cenił, upatrując jakieś pokrewieństwo między tem, co u Rzymianina czytał, a tem, na co sam patrzał; cytował go też nierównie częściej, niż Liwiusza, Cycerona i innych; obok starożytnych, czytywał i posiadał historyków nowszych, Thuana i innych; regularnie odbierał też gazety i awizy od Priamiego w Krakowie. Obok historyków, byli tu klasycy, choć greckich znał Podczaszy tylko z tłómaczeń łacińskich, dalej pisma polskie, np. Jan Kochanowski, nieodstępny towarzysz, przytaczany tylekroć, Jerozolima wyzwolona, dzieła Samuela Twardowskiego, nawet najnowsze przekłady Farsalii Lukanowej, Bardzińskiego i Chruścińskiego, choć w nich Podczaszy wcale nie smakował. Z najniższej półki wydostał on pięknie oprawny foliant, drugi tom dzieł Erazma z Rotterdamu, owej pysznej bazylejskiej edycyi zbiorowej z r. 1550; zaczął na nowo przewracać tyle razy odczytywane jej karty, aż trafił na przysłowie klasyczne, nadające się do morału, jaki mu dziś z po-za ranka się nastręczył. Przeczytał przysłowie i komentarz Erazma, i chodziło już tylko o to, w jakie słowa materyę gotową oblec. Nie szukając długo, zaczął od własnego dzisiejszego do-

świadczenia, od siebie samego, bo coraz milej starcowi o sobie pamiętać i mówić, gdy świat o nim niemal zapomniał.

Był to dzień powszedni, nie niedziela ani święto, więc nie trzeba było wychodzić lub wyjeżdżać do kościoła na summę łacińską, i na kazanie, przepełnione cytatami łacińskiemi, alluzyami do herbów, konceptami i wycieczkami przeciw „lut'om,“ na co wszystko Jegomość ustawicznie, choć daremnie, sarkał; nie trzeba było po summie prosić na obiad księdza proboszcza, i przy stole drażnić go kwestyami i wątpliwościami teologicznemi, jakie Podczaszy, teolog, nierównie głębszy, niż pleban, a choćby kanonik jaki, z predylekcyą wtaczał, jak to opowiedział w przypowieści: „Z wiatrem wojna“:

Chcąc to w ludzi mój pleban wmówić, że uczony,
Zwykł dysputować, miasto kazania, z ambony.
I zawsze tryumfuje, zawsze na śmierć ścina,
Że mu nie odpowiada, Lutra i Kalwina.
Wiedząc ja, ze tylko ma z Fabra swą naukę,
Proszę z sobą przy święcie na mięsa go sztukę.
A skoro po obiedzie, na jego kwestye
Luterskie i Kalwińskie przynoszę racye.
Pytam, co-by w kościele odpowiedział na nie? —
W łeb księgą, że mi przerywa kazanie. —
Więc się o tych rozmówmy rzeczach w izbie z sobą.
Będę ja na godzinę Lutrową osobą,
A dzień się trafił dżdżysty. — Jam nie na dysputę,
Prawi, ale na obiad w taką przyszedł plutę. —
Nie masz tu o co gniewać (bo się zaindyczy);
Odprawiwszy żołądek, niech się dowcip ćwiczy.
Będąc dobrze luterskich argumentów wiadom,
Na pierwszą mu kwestyą krótko odpowiadam.
Wraz wypiwszy, oddaję sporą wina szkleńcę.
Porwał-by się, ale żal. — Niechaj na szubieńcę
Oba idą złodzieje; zdrajca i ten i ów,
Stokroć godniejszy oba, niż wspomnienia, kijów. —
Pewnie tak; lecz ich lepiej przy kieliszkach ścinać,
Niżli rzekę, na miejscu świętym przypominać.
Chłopi tego nie pojmą, więc miasto dysputy
Lepiej-by oduczać kraść, kazać do pokuty!

Dziś, powtarzamy, był dzień powszedni, i nikt nie przerywał zajęć Podczaszego. Lekarze, duchowni, prawnicy, domu jego i tak nie nawiedzali nigdy; zjawił się, prawda, przed wrotami kwestarz, ale Pod-

czaszy kazał go byle czem odprawić; bardzo on ich nie dolubiał; jednemu, co wciąż czegoś nowego się napierał, kazał raz jedno dawać, a poprzednie odbierać; z innymi dysputował, lub drwił z nich, a jałmużnę dawał przytem nadzwyczaj skromną; hojniejszym bywał wyłącznie dla kks. Reformatów w Bieczu, bo ci przyjmowali tylko tyle, ile ubogi konwent dla ścisłego życia potrzebował. Jezuitów Podczaszy raczej unikał, z innymi zaś zakonami wojował ustnie i na piśmie. Po kwestarzu zjawił się, mimo rozjuszonych psów dworskich, żebrak na dziedzińcu, ale nie jakiś darmojad, stroniący przed pracą, lecz żołnierz kaleka z tatarskich pochodów. I wyszedł sam Podczaszy do sieni, rozmówił się i wypytał, kazał żebraka nakarmić, napoić, dać coś z odzieży i wsunął mu w rękę parę groszy, wysłuchawszy gorzkie skargi byłego dragona na niesumienną zwierzchność.

Więc zeszedł dzień głównie na pilnem pisaniu i odczytywaniu, jakby Podczaszy się śpieszył, jakby się obawiał, że najbliższa chwila kres jego pracy na zawsze położy. Obok siebie zasadził pisarza, dyktował mu, nie pozycye regestrów, lub inwentarzy, lecz dla wpisania na czysto, rzeczy dawniejsze, przetrybowane i wypolerowane tak, że chyba tylko gdzieniegdzie szyk słów zmieniać, lub wyraz jaki innym zastąpić wypadało. Innemu kazał przepisywać wybrane wiersze, by je poufałym znajomym przesyłać, np. JMP. Żydowskiemu, koledze na Parnasie, który rzeczy Podczaszego nadzwyczaj cenił i rychło je w najlepszym stanie zwracał, nie tak, jak ów sąsiad, od którego po najdłuższych naleganiach dopiero wróciła księga wierszy, potłuszczona, poplamiona, z powydzieranemi kartami; albo ów drugi sąsiad, co dla pustej rozrywki, aby zapomnieć na chwilę, że lada dzień z zadłużonej wioski wierzyciele go ruszą, o fraszki się dopominał, sam godzien, by go w liczbę ich położono.

Prace przerywały pauzy, i to skąpe, poświęcane potrzebom natury. W nizkim, drzewami ocienionym dworze, rychło ściemniało, więc przy świecy pracowano dalej, i było już późno, nim Podczaszy pisarzy do jutra odprawił. Potem udał się do pacierzy, za duszę własną i drogich zmarłych: i znowu osunęło się lice i skurczyła postać; i powlókł się znużony starzec do łoża, lecz spoczynku, trapiony wspomnieniami, nie rychło mógł znaleźć.

I tak jedyną, niezawodną, najmilszą rozrywką pozostała poezya. W pracę autorską włożył się był Podczaszy od lat niemal pięćdziesięciu; zaczął młodzieńcem jeszcze od pieśni religijnych, popłacających najbardziej w pierwotnem, aryańskiem otoczeniu, a rozszerzał powoli, przerywając zajęcia literackie nieraz na dłuższy czas, zakres ich; wciągał rzeczy postronne, obyczajowe, polityczne, romantyczne; od 1668 r. oddawał się coraz więcej tej pracy, chroniąc się do niej i przed ciosa-

mi, jakie weń trafiały. Ostatnie też dwadzieścia lat jego życia najpłodniejsze; gdy zupełnie osamotniał, pióra z rąk niemal już nie wypuszczał; odrywały go na chwilę sejmiki, processa, goście, poczem do niego wracał statecznie. I tu wprawdzie nie obeszło się bez trudności, zawodów, niepokojów; wrażliwe usposobienie, niecierpliwość, pewna obcesowość trafiały na przeszkody; raz nie kleiła się praca i nie stawało weny; innym razem rozbujałe pióro i pohamować się nie dawało. Dosadnie opisał poeta takie przejścia w przypowieści: „Zrazu jak po szydle, dalej jak po mydle“:

I to też moim zdaniem ujdzie za przysłowie:
Jest chęć, jest materya do pisania w głowie;
Papier, kałamarz, pióro na stole mię czeka.
Co usiędę, to wstanę; godzina docieka,
Druga, trzecia; aż obiad, aż chłopiec z obrusem,
A zwłaszcza, jeśli zimie, jeśli na dniu kusem.
Nagrodzę, com omieszkał rano, po obiedzie,
Myślę, skąd-by ją począć; nic się mi nie wiedzie.
Co raz pióro umoczę, znowu go otrzepię;
Rychlej papier upluskam, niż słowo przylepię.
Aż wieczór, aż mrok pada; świeca darmo gore;
Jak przy słońcu, tak przy niej wiersze mi nie spore.
Idę spać; tyleż jutro, co i wcora zrobię:
Darmo trzewiki depcę, darmo głowę skrobię;
Zrzędzę, wszystko mi kwaśno, przeszkodzi lada co,
Od okna do drugiego błądząc, a choć na co
Nie masz, patrzę. I będzie tak długo tej przerwy,
Póki się nie doczekam życzliwszej Minerwy.
Najciężej źródła dobyć, dziurę przekłuć w jaju,
Abo siekierą uciąć pierwszą gałąź w gaju:
Zkądeś nie mógł i krople przez czas mieć tak długi,
Czerpaj, choćbyś konwią chciał, z Helikońskiej strugi;
Nadwerężył i Pegaz kopyt, nim z Parnasu
Dokopał się jej w skale, bo trudno odrazu.
Jedno drugie popycha i w pióro uprzedza,
Jako woda po deszczu w jeden rynsztok zcedza.
Im dłuższe było sucho, tym rzęsistsze chmury,
Ledwie ma czas konieczna potrzeba natury.
I obiad i wieczerza, że nie idą z musem,
Niech się kucharz nie kwapi — precz chłopcy z obrusem!
Mało co się okroi do przespania nocy —
Począć nie było, przestać nie jest w człeczej mocy,

Zrazu trzeba zacinać; teraz ledwie zdoleć
Trzymać: obróciła się gruda na gołoledź.
Dla tego nie masz dziwu, że lecąc jak z proce,
Zatoczą i zniesą się sani na zatoce,
Że miejscem nie jednaki wiersz i nie poszurny;
Często w dół, kwapiąc, wpadnie człek, zwłaszcza w dzień chmurny.

Zrzędził też nieraz Podczaszy na swoje powołanie, skarżył się, że fortuna

Innym, jako mnie, żyć każe wiek nudny,
Pisząc wiersz często uporny i trudny,
Gryźć wargi, trudzić biedzące się myśli,
Przeklinać pióro, co niezręcznie kryśli,
A wymęczywszy wiersz wypracowany,
Drukować — bojaźń pracy swej nagany;
Potym cierpliwie znieść od leda żaka,
Że wierszów moich praca ladajaka.

Lecz skargi i żale te nie szczere, bo wiedział Podczaszy, że stworzony na poetę, chociaż za życia niczego, prócz bagatel panegirycznych, nie wydrukował, wiedział, że i po śmierci pamięć jego zaginąć nie miała, że z kart jego mieli czerpać potomkowie nauki, pociechy, rozrywki. Na stare swe lata wracał poeta często do prac dawniejszych; ponieważ ich nie drukował, wolno mu było ciągle je przerabiać, rozszerzać, przestawiać, i z tych samych składowych części różne zlepiać całości. Z takiej swej pracy spowiadał się nieraz, np. w ciekawym wstępie do wiersza p. t.: „Enchiridion militis christiani,“ „Bój rycerza Chrystusowego,“ do JMP. **Seweryna Morsztyna,** doskonałych cnót, poufałej przyjaźni, otwartej szczerości miłego i kochanego brata. (Był miecznikiem przemyskim):

Wylegając śmiertelnej resztę niedołęgi,
Stare pisma i swoje przeglądałem księgi:
Między którymi widząc bogdaj nie najpierwsze,
Złożone o Żołnierzu Chrystusowym wiersze,
Które przed lat czterdziestą, jeśli dobrze pomnię,
Czytając, siła starzy rozumieli o mnie:
Zdziwiłem się szczerości przy świętej prostocie;
Nie patrzono piękności na zwierzchnej pozłocie,
Gdzie często oszukane tają się ołowy —
Głębiej rzecz uważano. Dziś, jeśli kto słowy

Udatnemi, choć szczerej, prawdy nie okrasi,
Wszystek do niej apetyt i wszystek smak skwasi.

Mało com ci się przez czas poprawił tak długi,
Przecie do kastylijskiej podobniejsze strugi
Pisze, niżli na on czas, nigdzież okrom cienkiej,
Gdziem się od pieluch kąpał, nie wiedząc, Łużenki.
Jakośkolwiek się uda, — bo wszyscy poeci
Chwalą swe wiersze, jako owa sowa dzieci —
Tobie! gdyż ci w tej szarzy i w tej kładę minie,
Świętego szlę Rycerza, zacny Sewerynie!
Niech w Twym sercu, skoro dni mych urwie nić prządka,
Starego brata wieczna zostaje pamiątka.
Ze wszystkiem-że mamy się oraz zawrzeć w grobie?
Nie wadzi, ile, tyle, zostawić po sobie.
Dusza w niebo, robakom ciało w ziemię żerem —
Niech imię jego żyje po człeku papierem.
Bo kamień i żelazo z kruchemi makuchy
Czas równa; trzyma świata sam papier pieluchy.

Podobnie wyraził się poeta o swych wierszach w przypowieści „Szczęśliwa młodość, która starości miejsce gotuje,“ lecz dodał zarazem, co go u współczesnych czytelników raziło:

W najlepszą krew staremu, jego własna praca,
Z młodych lat, póki był duż (silny), podjęta, obraca.
Kiedy nietylko je chleb swym nabyty potem...
Lecz się cieszy, czytając — i nie żal mu, że żył —
Tym, co pisał, nim rozum zeszły wiek zciemiężył;
...Że kęs trwalszą pamiątkę na piśmie zostawi,
Zwłaszcza do pobożności, jeśli i do cnoty
Będą się stosowały te jego ramoty.
Ale dziś sowizrzalskie, czego świadkiem i ja,
Błazeństwa popłacają, niż ewangelia:
Chowaj sobie, kędy się nie masz rozśmiać czemu;
Fraszki, brydnie, staremu poszlij i młodemu.

I rzeczywiście, w innej przypowieści „Większy gust ludzie mają w fraszkach, niż w rzeczach nabożnych,“ opowiedział, czego sam doświadczył:

— Dziwuj że się tu płochym, politycznym fantom!
Przyjechał do mnie grzeczny, ze wszech miar, galantom —

Bo ich tak zową, którzy, ojczystą się miedzą
Nie kontentując w Polszcze, cudze kraje zwiedzą.
Prosi, żeby, nim na stół przyniosą potrawy,
Mógł co czytać z moich pism dla krótkiej zabawy.
Więc *Arfę* mu *Starego testamentu z Nowym*,
Potym kładę *Pieluszki z Krzyżem Chrystusowym*,
Wieniec Maryjej Panny, *Pieśni do zbawienia*;
Darmo, nie przypadnie mu nic do podniebienia.
Kładę *Prześladowanie Bożego Kościoła*,
Toż *Historyje*, którem z potem zbierał czoła.
Niechaj się, rzecze, księża pismem bawią świętem,
Historyjem też czytał, pamiętam, studentem.
Już nie mam nic, prócz *Fzaszek*, a to rzeczy lekkie,
Od poważnej osoby muszą być dalekie.
O te, mówi, i proszę; z wielkim gustem czyta,
I, jeżelim do druku już je podał, pyta.
Nie miałże-bym też na co kosztu łożyć marnie,
Tylko, rzekę, błazeństwa dawać do drukarnie?
Talent Waszeć, odpowie, zakopujesz Boży;
I ja i każdy-by je zapłacił najdrożej!
Niegodny, rzekę, brydnie, żeby je tak chwalić,
Owszem, żeby nie żyły po mnie, myślę spalić —
Mają-li gorszyć ludzi, samym gorzeć lepiej;
Dosyć wszyscy za światem bieżą jako ślepi.
A ów: lepiej nabożne, bo im nie masz miary,
Palić i te z Lutrami niepotrzebne swary.
Popuszcza, rzekę, dyabeł w grzechach ludziom leca:
Co zgarsza, to do druku? co zbawia, do pieca?
I bogdaj się nie ziści tego człeka wróżka,
Że moje pisma, w których na grzechy pogróżka,
Że do ludzkiego smaku nie przypadną, czymem
I sam im nieraz groził, pójdą na wiatr z dymem.
Fraszki, że ciało cieszą, chociaż duszy wadzą,
Mogą się tacy znalezć, że do druku dadzą.
Ja to Bogu oddaję, który takie sędzie
Na strasznym trybunale swoim sądzić będzie.
I ten, który prawdziwym sam się świadkiem zowie,
Widzi, żem tylko pisał, cojest w jego słowie:
Grzechym ganił i ludzi prywatnych przydatki.
Stanie jeden za wszystkie tego świata świadki.

Nie omyliło przeczucie: „Pobożne wiersze Potockiego“ zaginęły po części, i próżno-byśmy szukali niejednej z wyżej wymienionych rze-

czy; za to znalazł się niejeden, kto fraszki nietylko przepisywał i odczytywał gorliwie, ale je i do druku podawał. Z wyuzdanej nieskromności tych Fraszek, Wetów Parnaskich, Jovialitates i jak je tam nazywano, dziś jeszcze czynią wyrzuty poecie; co on sam o tem myślał, jego własny wiersz „Na Fraszki“ odpowie. Wspomniawszy o Efezejczykach, którzy (wedle dziejów apostolskich rozdz. 19) drogie księgi dla swawolnej treści na rynku spalili, dodaje:

Bardzo wątpią o sobie moich Fraszek żarty, —
Gdyżby ledwie na taksie sześci groszy stały —
Żebym i ja do takiej nie chciał przyjść pochwały,
Dawszy je Wulkanowi. Jeszcze ich to żywi,
Że w nich i Bóg i Kościół i ludzie cnotliwi
Pokój mają; mało tym, zdaniem moim, zgrzeszę,
Że kogo uczciwymi żartami rozśmieszę.
Co się tyczy w mych Fraszkach przyrodzonych rzeczy,
Stanie mi Jakób, Judasz, Lot, Dawid w odsieczy.
Kto się grzechu za lada okazyą chwyta,
Zgorszy się i z Bibliej, choć Fraszek nie czyta;
Kto zaś afekt w sekwestrze i cnotę ma w ręku,
Z samych się rzeczy, nierzkąc z słów, nie gorszy, dźwięku.
To, czemu się w pijanym rodzicu Cham śmieje,
Sem, zamrużywszy oczy, z Jafetem odzieje.

Obwarowawszy się tak przeciw zarzutom, świadom najlepszych zamiarów, nie trwożył się już poeta o sąd obcy, nieraz złośliwy, jak to w innej przypowieści „Garkami się popisuje“ wyłożył:

Trzopy garncarz wystawił, prawda malowane;
Po staremu, nie srebrne, trzopy są gliniane...
Kto ladaco pięknemi, wierszem, stroi słowy,
Taki poeta każdy garncarz jest gotowy...
Z pomienionym, Wacławie! tegoż czekaj zdunem
W swoich pismach od takich, co się im piołunem
Miodunka staje w uściech, chociaż słodka, są ci,
Co im czosnkiem lilija, rdestem róża trąci.
Niech zajęczego bobku, niech wąchają jaja,
Co ni śmierdzi ni pachnie, którzy zaraz z kraja,
Począwszy czytać, moje potępiają karty,
Że ludziom różnych stanów przymawiają żarty.
Nie ludziom — grzechom ludzkim, toć to jest i sztuka,
Kto się niwczym nie czuje, niech urazy szuka,

Nie znajdzie jej w mych piśmiech, gdzie nie tykam osób,
Ale trzymam zwyczajny aptekarski sposób
Na różne afekcye, że też i na.....
Regiestruję lekarstwa, syropy, purgance.
Wolno czytać, wolno nie, po słojach tytuły —
Więc ten, choć mu już strupy na czoło wysuły,
Ma się gniewać, żem jego napisał chorobę?
Jeszcze-by się tem wydał. Kiedy nie osobę —
Nikogo to nie tyka, nikogo nie maże.
Bo nie ludzi, lecz grzechy swym piórem uważę.
Jak sobie chce plugastwo; gniewu się nie boję,
O łaskę ich bynajmniej do śmierci nie stoję.
Jeśli gdzie ostrzej pióro biskupy wspomina,
Pewnieć nie Mikołaja, pewnieć nie Marcina;
Jeżeli zakonników, niech to każdy trzyma,
Że ani Antoniego, ani Hieronima.
Znajdziesz rzeczy poważne i żart i żal i śmiech;
Jakiegoć trzeba garnka, znajdziesz w moich piśmiech;
A w ostatku, jeśli się kędy trafi kolak,
Wolno zmazać; polityk pisał to i Polak.

I tak poświęcał Podczaszy czas swój coraz wyłączniej poezyi, mimo wszelkie przeszkody, trwogi, niepokoje; raz pisania omal życiem był nie przypłacił, (por. przypowieść: „Zawsze nieszczęście za człowiekiem chodzi"):

Wsiadłszy w łódź, jadę na staw, wiersze pisać, w trzcinę,
Dla pokoju; Bóg bronił, że marnie nie zginę.
Bo postrzegłszy stary mój strzelec kapelusza,
Rozumiał, że się kaczor, albo kania rusza.
Z przyłożonym się kurkiem do mej głowy składa,
I gdy upatrzony ptak na celu dosiada,
Tylko cyngla ma ruszyć, kiedy srogim rojem
— Prawiem ci się, pomyślę, opatrzył pokojem —
Komorzy mnie opadną, że wstawszy na nogi,
Muszę on rój odganiać kapeluszem srogi.
A ów przeżegnawszy się, rusznicą uderzy
O ziemię, przypłacił-bym zwierzyną wieczerzy.
(Któż wątpi, że opatrzność przez anioła stróża
Człeka od marnej śmierci obroniła boża?
Tysiącem na każdy dzień dróg mamy do grobów,
Więcej do zachowania u Boga sposobów).

Podczaszy pracował teraz rzeczywiście bez wytchnienia. Napisawszy między rokiem 1688 a 1695 olbrzymią księgę wierszy moralnych (a pisał lub przerabiał równocześnie i wiele innych rzeczy: „Poczet herbów“ i t. d.), zabrał się 25 października tegoż roku do drugiej części, choć się już nie mógł łudzić nadzieją, że jej dokona, o czem w przypowieści „Czego dokończyć nie możesz, lepiej nie poczynać,“ wspominał:

Lecz mówiąc o kim, i sam siebie nie zapomnię,
Jeśli też ta przypowieść nie należy do mnie.
Gdy w ostatniej starości, w **siedmdziesiąt lat sześci,**
Poczynam drugą pisać księgę przypowieści,
Gdy w piersiach wsiadanego śmiertelny gra gądek (muzyk),
Ręka drży, zgasił kuchnią niestrawny żołądek,
Gdy zwierzchne i zewnętrzne zmysły swą moc tracą.
Śmieją się na Parnasie, na mą patrząc pracą,
Co miały dziada z swojej podsycać nalewki,
Że się na nię ośmielił, Helikońskie dziewki.
Ale trudno przymusić, kiedy zechcą przeczyć;
Wolno dać, wolno nie dać; przecież nie kaleczyć,
Nie wydzierać, co komu życzyła natura:
Wody wapnu do cegły, dosyć drzewu sznura;
I to mniejsza, choć będą w mojej ścienie szpary,
Zatka mchem kto lub rzecze: nie mógł lepiej stary.
Przyjdzieli, wprzód nim skończę, pójść do grobu z świata,
Zawołano go, rzecze, do Pana z warsztatu,
Gdzie i o jednym bucie, kiedykolwiek wzową,
I wpół z niedogoloną musi stawać głową.
Więc kiedy w tym wygody żadnej nie masz ciału,
Pocznę, nieuważając śmierci spoliału —
Inaczej-by poczynać nie trzeba pacierza;
Któż wie, jeśli go skończy? jeśli weń nie zmierza —
Nie pacierza: sylaby nie masz takiej żadnej,
Żeby tej nie podległa paniej wielowładnej.

Tak żył i pracował Podczaszy w ostatnie dnie i miesiące. Druga księga Przypowieści urosła mu jeszcze do kilku tysięcy wierszy, w ostatecznej, wygładzonej redakcyi, pisanych z tą samą werwą, co dawniejsze, bez śladów znużenia, lub zniechęcenia jakiego. Lecz upomniały się lata długu: rychło zaczęły siły słabnąć, wzrok i pamięć gasnąć i niebawem musiał rzucić Podczaszy ulubioną pracę; jeszcze kazał wpisywać, jako dalszy ciąg, z dawniejszych wierszów „Ogrodu,“ co do

nowego zbioru „Przypowieści“ się nadawało; pododawał, już bez braku, i inne rzeczy, żeby tylko w obec olbrzymich rozmiarów pierwszej księgi i druga jako tako się prezentowała. Lecz śmierć następowała coraz bliżej. Nie obawiał się jej Podczaszy, który przez wszystkie dni swoje nietylko głosił, lecz i wykonywał zasadę:

Żyć pobożnie, spokojnie, cierpieć, wzgardzić światem,
Cnotę mieć materyą, serce jej warsztatem.

Nie obawiał się jej tem bardziej, że dawno utracił, co było miłe i drogie, a patrząc na to, co w kraju się działo, czuł chyba wstręt do życia, cieszył się niemal, że, blizki grobu, ruiny ojczyzny już nie dożyje; ileż-to razy wyrywały mu się słowa, jak:

I ci szczęśliwi, których pcha starość do dołów,
Że nie obaczą miłej ojczyzny popiołów;

lub:

Cieszy się (starzec) tym, nie boi, że się oń śmierć pyta,
Nie obaczy, kiedy rzecz zginie pospolita;

i podobne. Rozbierając mijający już żywot, przyrównywał się do człowieka, patrzącego z brzegu na rozbicie czyje, lecz porwanego w końcu tą samą falą nieszczęsną:

Patrząc z lądu na morze fortuny obłudnej,
Okręty, galsony widziałem i sudny (statki),
Tysiącem form zrobione, zgoła mówiąc krótce:
Każdy człek szczęścia szukał na inakszej łódce.
Ci się boją od brzegu; ci na bystre fale,
Na wichry, wiry, nurty, płyną poufale.
Widziałem też rozbitów, sam krom trwogi, siłu,
Stojąc na suchym brzegu, aż też i mnie z tyłu
Taż fala ogarnęła, taż obeszła woda.
Ach! gdzież na ziemi niema miejsca zła przygoda?
Nie mogąc dostać łódki, przegniłą tarcicę,
Pijąc morze słonych łez, zębami uchwycę,
Którą zbiwszy na trumnę, o żałosna flota!
Płynę do grobu nagi, bez dzieci, sierota —
Starzec, o trojgu drobnych wnucząt, po dorosłym
I drugim synu, trzeciej dziewce, tłukę wiosłem,

Póki na opłakanie grzechów Bóg pozwala.
Ach, możesz być na świecie żałośniejsza fala?

Myśl o śmierci nie opuszczała go już ani na chwilę, stąd tyle nagrobków, jakie sobie kreślił, między niemi i ów w przypowieści: „Po starym wole nie masz żalu:“

A o mnie co też rzeką? umarł starzec stradny,
Nie doznawszy pociechy wedle ciała żadnej.
Cały żywot przepłakał; fortuna urzędu,
Śmierć bez wszego na młodość zbawi dzieci względu,
Jego nie ma kto płakać; dość łaski nad trupem
Pokaże, nie dawszy psom ani wilkom łupem.
Nie godzien też poczciwszej stypy i pogrzebu
Grzeszny ścierw, byle dusza dostała się niebu.
Jakoż w tej mrze nadziei ani wątpi o niej,
Że go śmierć Chrystusowa na sądzie zasłoni,
Że jako w żalach starzał za grzechów swych zbrodnie,
Tak ożywszy na wieczne pociechy odmłodnie!

Umarł poeta w ciągu 1696 roku; dnia i miesiąca dotąd dokładniej oznaczyć nie umiemy.

Wznawiając dziś pamięć jego, czynimy to nietylko dla dwóchsetnej rocznicy zgonu, lecz ponieważ szczegółami, wysnutemi z własnych jego pism, dotąd nieznanych wcale, lub niezbadanych należycie, da się oświecić ta postać pełniej i wyraziściej, niż któregokolwiek innego z dawnych poetów. A zasługuje na to ze wszech miar: żaden z nich, od Reja i Kochanowskiego, aż do Naruszewicza, Krasickiego i Trembeckiego, nie może uchodzić za doskonalszy typ Polaka - szlachcica. Wacław Potocki jest najwięcej narodowym pisarzem w całej dawnej naszej literaturze. Nie naśladując nikogo, przetrawiając wszystkie zasoby dawnej umysłowości polskiej, zasycanej głównie klasykami i teologią, nie bez polotu fantazyi, nie bez szerszych widnokręgów myśli, wrażliwy na otoczenie, nie ślepy na jego wady, a miłujący je szczerze i gorąco, poświęcił Potocki wszystkie swe siły zawodowi pisarskiemu, pełniąc w nim niby służbę publiczną. Do służby tej przeniósł wszystkie swe osobiste zalety: szczery, kochający mąż, ojciec, brat i sąsiad, sumienny i cnotliwy obywatel, głowa poważna, mądra, myśląca, serce ciepłe, wiara głęboka występują na każdej z niezliczonych kart, jakie spisał. Gromił, wytykał, upominał, radził wedle sił i możności, ubolewał nad niedolą chłopa, oskarżał mieszczaństwo, opuszczające warsztaty i kramy, a wciskające się w szeregi szlachty; szlachtę, domatorów,

utracyuszów, wartogłowów i wichrzących po sejmikach i sejmach; wojsko, nieliczne, niegotowe, nierządne; magnatów, dbałych tylko o własny dobrobyt, zaszczyty i wpływy; biadał nad *liberum veto*, nad obieralnością króla, nad zubożeniem kraju; sarkał na przewodzenie duchowieństwa, jego nieduchowne życie, zbytnie dostatki, opieszałość w obowiązkach, brak tolerancyi wobec różnowierców, różne nadużycia. Żaden z pisarzy siedmnastego wieku nie roztoczył tak szerokiego i obfitego w szczegóły obrazu; z samych dzieł Potockiego mogli-byśmy poznać czas i ludzi, ich temperament i ogładę, wiarę i wiedzę, życie prywatne i publiczne. Żaden też z dawniejszych pisarzy nie pozostawił tyle osobistych wynurzeń, tak dokładnego i pełnego wyznania wiary, ze stanowiska społecznego, religijnego i literackiego. Pisarze ci o sobie zwykle najmniej mówią: cóż-byśmy wiedzieli, np. o Reju, mimo licznych pism jego, gdyby nie owa misterna biografia Trzycieskiego; cóż możemy wiedzieć np. o Morsztynach, lub o Krasickim i innych, ze wszystkich ich pism? Jedyny Potocki wynurza się ciągle o wszystkiem, co go trapi, dotyka lub cieszy; jedyny to pisarz, co się z osobą swą nie kryje, lecz narzuca ją czytelnikowi, spowiada się ze wszystkiego, czego doświadczył i co ucierpiał; jedyny on, którego pisma pełną autobiografię przedstawiają, dla którego nie trzeba sięgać po obce wiadomości do historyków, panegiryków, lub akt grodzkich. Niestety, właśnie te pisma jego, najobfitsze w podobne zwierzenia, były dotąd zupełnie nieznane; niedawno zjawiła się więc praca, która z tranzakcyj majątkowych i zapisków sądowych życie Wacława Potockiego lepiej wyjaśnić usiłowała, i należy się największa wdzięczność autorowi za skrupulatne zebranie odpowiedniego materyału. Lecz najpewniejszem i najpełniejszem źródłem dla poznania poety, jego przejść życiowych, jego walk i zawodów, pozostaną zawsze pisma jego własne.

Zestawiliśmy powyżej garść szczegółów, mianowicie dla ostatnich lat poety, z własnych pism jego; lecz postać to tak ciekawa, że warto się bliżej jeszcze przypatrzyć jej fizyognomii duchowej.

A. Brückner.